Sprzedawca ubrań nudystom – Część 2/3.

W pierwszych dniach nastawienie mieszkańców było w miarę dobre. Sprzedawca był kuriozum, ciekawostką, czymś nowym – jasne więc, że był na ustach wszystkich. Każdy miał oczywiście na jego temat swoje zdanie i traktował je jako oczywistą oczywistość.

Zdania te jednak się różniły – nie stosunkiem do sprzedawcy, ale raczej podejściem do jego jako problemu, albo anormalności – przez co dochodziło do sporów i nieoczekiwanych kłótni. Nastrój nerwowości powoli zaczął udzielać się mieszkańcom.

Wszyscy uznawali ubrania za coś nienormalnego i nie potrzebnego. Różniono się jednak, co do argumentów, którymi popierano te twierdzenie, a każdy uważał argumenty swojego sąsiada za nieprzekonywujące i skrycie podejrzewał go o konszachty z kupcem.

Sam sprzedawca był zresztą również tematem dysput. Jego dziwne zachowanie wynikało, ze złego wychowania, a może winne były tu czynniki genetyczne? Zaczął sprzedawać ubrania z nienawiści, a może by podbudować swoje niskie poczucie wartości? Teorii było multum, zaś każdy z mieszkańców starał się, niby na wyścigi, pokazać, że ubieranie się uznaje za rzecz zupełnie zbędną i jest pewien swego zdania.

To dowodzenie, miało w sobie jednak coś tak sztucznego, że siłą rzeczy wywoływało w samych mieszkańcach wzajemną niechęć i swary. Do samego sprzedawcy podchodzili jednak dobrze, patrząc z wyższością, jak na człowieka chorego – niewiedzącego i nieodpowiadającego za to co czyni – a więc takiego, na jakiego nie było właściwie sensu się złościć.

A przynajmniej takie było powszechne doświadczenie. W niektórych bowiem postać Jana wzbudziła już nienawiść, która zdawała się rosnąć z każdym dniem; każdym

jego nawoływaniem i czynem.

Sam sprzedawca robił zaś to co zwykle: odwiedzał ludzi, starł się przemówić im do rozsądku; zaprzyjaźnić się, skłonić do rozważenia swojej sytuacji, podważyć powszechną opinię. Jego zadanie nie było lekkie, ani proste.

Coraz częściej wymawiano mu miejsca, albo zbywano niczym. Mimo to wiele dróg było jeszcze dla niego otwartych. Szukał więc ciągle sposobu by lepiej dotrzeć do tutejszej ludności; by móc wreszcie sprzedać komuś swój towar.

Pocił się przy tym strasznie, gdyż słońce nie oszczędzało go ani na moment. Nie chciał jednak zbyt bardzo się rozbierać, by tym samym, nie dawać mieszkańcom powodów, by śmiali się mówiąc, że sam zaprzecza – tym, że się rozbiera – praktyczności odzienia.

Znosił więc gorąc niejako z musu, zmuszając swe ciało ciągle do większego wysiłku, starał się nie tracić cierpliwości w pracy. Okazje stwarza samo życie, trzeba być tylko uważnym, by je dostrzec i cierpliwym, by na nie czekać.

I taka okazja zdawała się właśnie nastąpić. Na placu kilku chłopców grało w piłkę. Gdy Jan podszedł do nich, większość uciekło zachowując dystans. Jeden zaś pozostał na miejscu ciągle się w niego wpatrując. Jan zwrócił się do niego ogólnie:

– Nie chcielibyście się ubrać?

Chłopiec uśmiechnął się złośliwie. – Chodźcie tutaj prędko! pyta, czy nie chcielibyśmy się ubrać! – zawołał swoich kolegów, którzy szybko przybiegli z powrotem i zaczęli przyglądać się Janowi otaczając go wokoło.

– Ma buty! – zauważył jeden.

– I spodnie – skonstatował drugi.

– I koszulkę, bluzę, płaszcz i tak dalej – dorzucił inny.

Wybuchli śmiechem. Sprzedawca zmieszał się nie wiedząc, co właściwie powinien teraz powiedzieć i jak interpretować ich zachowanie; na razie więc przybrał pozę delikatnego optymizmu, uśmiechnął się i poważnie zapytał – co w tym takiego śmiesznego?

– Co jest śmieszne? Słyszycie? pyta co jest śmieszne! – zachichotał pierwszy z młodzieńców.

– Pyta co jest śmieszne! – zawtórowali mu pozostali.

Sprzedawca postanowił się nie odzywać, aż staną się poważni. Bądź, co bądź, ich wesołość nie mogła trwać długo; lepiej więc było poczekać chwilę, niż bez sensu się trudzić.

Chłopcy rzeczywiście spoważnieli bardzo szybko, a nawet jakby stali się zbyt poważni. Patrzyli wyniośle i dumnie, jak gdyby odgrywając jakiś rytuał, albo może nawet sztukę.

Widocznie chcieli zacząć, czekał więc dalej.

– Jesteś głupi – powiedział jeden z nich w końcu.

– Dlaczego sądzisz, że jestem głupi?

– Jesteś głupi, bo nie rozumiesz, że ubierać się jest głupio. Sam też wyglądasz głupio.

– Nie, to wy wyglądacie głupio będąc nadzy, nie ma nic głupiego w przyodziewaniu się.

– A właśnie, że jest głupie i pan jest głupi!

– Noszę ubrania, bo się wstydzę być nagim, wy również jesteście wystarczająco duzi by się wstydzić. Jak wam nie wstyd chodzić ciągle nago!?

Roześmiali się znowu – Wstyd? Wstyd jest głupi!

– Ja zaraz udowodnię panu, że wstyd jest głupi, powiedział jeden z wyrostków i szybko zniknął w szałasie by po chwili wrócić z tabletem – niech pan spojrzy, wstyd jest głupi!

Jan rzeczywiście spojrzał i krew się w nim zagotowała, w tablecie otworzona była bowiem strona, o wdzięcznym tytule: "wstydjestglupi.pl". Krótkie przejrzenie jej zawartości, pozwoliło przekonać się do jakiej grupy się ona zalicza.

Nie sposób było uciec od propagandy.

Przecież już w szkołach uczono wszystkich, że dzięki postępowi ludzie w końcu porzucili dawne prymitywne obyczaje – do których zaliczano między innymi ubieranie się – oraz że człowiek nowoczesny jest wyzwolony z tych starych, wyniszczających ludzkość, przesądów mówiących o wstydzie.

Te same idee można było spotkać w prozie i filmach. Wiele z nich osadzało swą akcję w przeszłości. Bohaterem zwykle był przystojny, sympatyczny ekshibicjonista, prześladowany zewsząd przez społeczeństwo: „które go nie rozumie". Tego współczesnego literackiego męczennika, bito i opluwano, po czym wsadzano do więzienia, zmuszając do noszenia obrzydliwego uniformu.

W porywie rozpaczy Jan przypomniał sobie ostatnie rozdanie Oskarów.

Wygrał film który, jak to określił jeden z recenzentów: „W doskonały sposób pokazuje kobietę zniewoloną, która chce się uwolnić i której w końcu udaje się przezwyciężyć wstyd i upokorzenie, dzięki czemu staje się wolna, wyzwolona" – to znaczy naga.

Przy tym wszystkim obraz człowieka ubranego przedstawiony był zawsze jednoznacznie. Był to szaleniec zabijający dla przyjemności, czerpiący przyjemność z jęków swej ofiary – tak często przedstawiano go w prozie – a nawet, jeśli, jakimś cudem nie był mordercą, był to na pewno człowiek opryskliwy i niemiły. Osobnik, którego ograniczony umysł uniemożliwiał dopasowanie się. Miał więc to być ktoś bardzo płytki, niezdolny do racjonalnego, trzeźwego, spojrzenia, przesiąknięty za to mitami; skażonego wiarą w przesądy…

Nikt nie lubi gdy robi się z niego wariata, naturalnie wiec Jan zdenerwował się. Musiał jednak szybko się opanować, reagując zdenerwowaniem, tylko potwierdzałby nagromadzone uprzedzenia.

– Ta strona kłamie – stwierdził wprost. – Mówi nie prawdę. Spójrzcie nawet na moje ubranie; czy przypomina ono te karykatury które widzicie na tej stronie internetowej? – one rzeczywiście wyglądają śmiesznie! Ale mój strój jest w porządku.

– Nie nabierzesz nas – stwierdził jeden.

– Twoje ubranie też wygląda śmiesznie – dodał drugi.

– Przecież sami czujecie wstyd (gdyby rozmówcy sprzedawcy byli dorośli, zaraz

by odpowiedzieli, że nie czują, więc starał się nie używać tego argumentu przy dorosłych, dzieci były jednak pod tym względem bardziej szczere), nie chcecie chodzić nago. Czujecie się niedobrze i macie ochotę zakryć swoje części intymne. To jest prawda, którą jesteście wstanie sami doświadczyć… na własnej skórze… – uśmiechnął się.

– Jaki jest sens czuć wstyd, przecież wszyscy mamy to samo? – Nie łatwo było odpowiedzieć na te pytanie, jak jednak mógł, starał się im to wyjaśnić.

Temu działaniu od jakiegoś czasu, w niewielkiej odległości, przypatrywał się ze złością pewien mocno umięśniony mężczyzna. W końcu nie wytrzymał i trzymając w jednej z rąk kij, podbiegł do Jana; dzieci rozpierzchły się.

– Do tej pory się powstrzymywałem, ale mam już tego dosyć! – wykrzyknął jeszcze biegnąc. – Fundamentaliści ubrańscy tacy jak ty, są zakałą tego świata! Stanowicie zagrożenie dla światowego porządku!!

Zastanawialiście, co w ogóle chcecie zrobić!? Chcecie przywrócić czasy barbarzyństwa, zniszczyć cywilizację!? Pojebało was czy co!? Na głowę wam padło?! To idźcie się leczyć zamiast szerzyć tą swoją propagandę!

Nie rozumiecie, że ubrania powodowały wojny!? Ubrania sprawiały, że ludzie odróżniali się między sobą. Każda kultura miała inne, co prowadziło do rywalizacji i wzajemnej nienawiści.

Niemcy z odrazą patrzyli na stroje Polskie, a ci, którzy kolonizowali Amerykę brzydzili się strojów Indian; dlatego łatwiej było im do nich strzelać!

Ubrania podzieliły ludzkość i uczyniły ludzi nawzajem sobie wrogami! Jeden wystawiał się przed drugiego. Zakładając najlepsze szaty uzyskiwało się lepszy status – było się wyżej w hierarchii. Dlatego wszyscy zabijali i kradli, by mieć pieniądze na te wszystkie, nie potrzebne nikomu, falbanki i złocenia!

To właśnie było zadanie strojów – dzielić!

Dzielić społecznie i kulturowo! Niszczyć relacje, uniemożliwiać komunikacje i dialog! Oddzielać tych, których stać było na wyszukane stroje, od tych, biedniejszych, niezdolnych gonić za modą.

Mundury i kombinezony izolowały służbistów od zwykłych ludzi. Policjanci za-

łożyli mundur i już inaczej patrzyli na wszystkich, także inaczej byli traktowani! Czy zdajesz sobie sprawę, że te twoje umiłowane ubrania godzą w takie wartości jak wolność i równość??!

Są przykładem ciemnoty i głupoty dawnych barbarzyńskich czasów! Ludzie wymyślili ubrania by zniewolić...

– Ludzie nie wymyślili ubrań! – przerwał mu sprzedawca dobitnie.

– A kto je wymyślił? Kosmici!?... Widzę, że jesteś zupełnym, wariatem... Zniewolonym ubraniem, niewolnikiem mody, przewrażliwionym na punkcie własnego wyglądu!

Taki fundamentalizm wzbudza najgorsze instynkty; niszczy człowieka od środka, czyniąc niezdolnym do jakiegokolwiek współżycia społecznego. Człowieku, zrozum! ubrania powodowały tragedie.

Nawet teraz pewnie ktoś zabija się przez ubrania – choć przecież problem wydaje się być już prawie rozwiązany – a ty chcesz przywrócić ta dawną anarchię!? Chcesz zniszczyć to wszystko, co udało nam się zbudować!? Cofnąć rewolucję obyczajową!!? Wrócić do średniowiecza!?

Opamiętaj się! To wszystko już było! Król ubierał się inaczej, niż chłop – piosenkarka inaczej, niż sprzątaczka. Wiemy, do czego to prowadziło – do tortur, samobójstw, eskalacji przemocy, wzajemnej nieufności i nienawiści!

A ty chcesz to wszystko przywrócić! Przecież nawet to ile gatunków zwierząt wyginęło, bo ludzie zabijali je dla skór, z których szyto ubrania, powinno powstrzymać cię przed tym szaleństwem!

Zastanów się, ile ludzi chcesz skrzywdzić tym swoim fetyszem, ile istnień skazić swym egoizmem!? Jesteś jak te moherowe berety, z początku wieku, które rzucały się z nienawiścią ilekroć zobaczyły w telewizji jakąś goliznę!

– I dobrze robiły, bo to było zepsucie!!!

– Zepsucie!!? – wściekł się i złamał kij, który przyniósł ze sobą. – *A więc nie wziął go, by mi nim przywalić* – pomyślał sprzedawca, który trochę obawiał się tego kija. – *Cóż, nie potrzebuje go by mnie zmasakrować…*

– Sam jesteś zepsuty! Ty, i tobie podobni postrzeleńcy, którzy chcecie cofnąć wskazówki zegara. Dla własnej próżności i samolubności wszystko zniszczyć. Wszyst-

ko przez to, że tak lubicie chodzić w ubraniach!

– Nie, nie dlatego, że lubimy chodzić w ubraniach, ale dlatego, że chodzenie w ubraniach jest słuszne – sprostował Jan. – Myślisz, że jeśli będziesz tak wrzeszczał staniesz się bardziej przekonywujący? Uwierz mi, ja również jestem zdenerwowany.

Nie przerywaj mi! Wysłuchaj mnie teraz przez chwilę; w czym niby różni się twoje postępowanie od mojego? Zarzucasz mi fundamentalizm, czyli wierność pewnym zasadom, a sam, występując tak ostrze przeciwko mnie, robisz to również w imię przestrzegania pewnych zasad, sam stając się niejako fundamentalistą. Różny jest tylko ten fundament, na którym się spierasz…

– Ja nie nagabuję dzieci; nie chodzę po ludziach i nie zagaduję ich! Lecz w spokoju i w zgodzie z innymi żyję sobie spokojnie.

– Ale do mnie podszedłeś i zagadnąłeś mnie jednak. Kto wie czy gdybyś żył w świecie, w którym wszyscy chodzą w ubraniach, nie przekonywałbyś ludzi by je porzucili, skoro tak bardzo jesteś przekonany o ich szkodliwości. A co do argumentów które przedstawiłeś… – i tu Jan rozpoczął dłuższą dysputę.

Jak przekonać kogoś do tego, że człowiek powinien się ubierać, a nie chodzić wciąż nago? Jak by nie patrzeć, ściśle rzecz biorąc, wstyd jest uczuciem irracjonalnym. Raczej niemożliwe byłoby naukowo udowodnić, że sprzedawca ma rację. Zostawało więc jedynie odwołać się do uczuć i takim to dowodem emocjonalnym i religijnym próbować kogoś przekonać.

Zwierzęta chodzą nago, ubrania różnią nas od zwierząt. Wielu jednak twierdzi przecież, że człowiek to jedynie zwierzę… Jak też odpowiedzieć, na argument, że ubrania dzielą ludzi?

To nie było proste zadnie, Jan jednak starał się jak mógł.

– Mam już dość słuchania tych bzdur! – przerwał w końcu mężczyzna. – Jesteście zwyczajnie pomyleni! Prawda jest taka, że to choroba umysłu! Chcecie powrócić do czasów, kiedy nagość stanowiła tabu!

– A może tabu wcale nie było złe? Kto wmówił ci, że tabu zawsze musi być złe?

– Jest złe! Dlatego nie pozwolę, by to znowu wróciło! By tacy jak ty, zniszczyli to wszystko, co udało się nam razem osiągnąć!

– A ja uważam, że jest dobre, a nagość zła i będę walczył o to by się skończyła!

– Jeszcze zobaczymy!... – wysyczał przez zęby i zamierzył się do ciosu pięścią.

Gdy jednak zobaczył tą żałosną skuloną postać sprzedawcy, zmiarkował się i odszedł.

Jan popatrzył za nim. – *Więcej nadziei dla niego, niż wszystkich wokół* – pomyślał. – *On z pewnością będzie słuchał każdego mojego słowa. Wysłucha wszystkie przemówienia, które wygłoszę i nie skieruje myśli gdzie indziej – uciekając – ale rozważy je. Oby tylko któreś do niego przemówiło!*

Jeśli tylko jest w nim więcej tego rygoru – tego poczucia, iż należy dążyć do właściwego postępowania – niż konformizmu, to może jest dla niego jakaś nadzieja – tymi słowy pocieszał się.

Dzieci, mimo iż całej sytuacji przyglądały się z pewnej odległości, nie chciały już z nim rozmawiać. Musiał szukać szczęścia gdzie indziej.

Znów rozłożył więc swój towar na placu i gwizdał. A gdy pojawili się ludzie, przemówił do nich:

– Drodzy mieszkańcy Hotoko! Nich zdrowie będzie waszym udziałem, a trzeźwość, wyrazem waszej woli, by umysł wasz pracował ostro, a serce, niesplamione, czystością świeciło wyraźnie.

Trzeba bowiem siły, byście zrozumieli, że nie przyszedłem do was próżnować, ani w celach turystycznych odpoczywać zamierzałem, ale z celem. Wedle łaski mi danej, która to sprawiła, że mogłem zawitać do was jako sprzedawca; przybyłem do was sprzedawać swoje ubrania.

Ale cóż widzę? Jeszcze nikt nie przyszedł do mnie, nikt też, gdy ja szedłem, nic nie kupił. Obym więc nie przyszedł do was na próżno, a promocja wyleciałaby wam z ręki, by nigdy nie wrócić.

Czego się wstydzicie nieśmiali? Wielu bowiem z was pragnie, ale boi się kupić. Nie kupować się wstydźcie, a wstydźcie się raczej chodzić nago. Hańbą jest bowiem nagości swej nie osłaniać, a okrywać się jest poczytane za sprawiedliwość.

Nie bójcie się ludzi, cóż wam ludzie uczynić mogą? Ale Boga się bójcie, bo on na straży widzi nieprawość i każe, a nie przepuści tym, którzy nie chcąc słuchać, zatwardzają serce swoje.

Nie dajcie się zwieść. Nie wierzcie, gdy mówią wam, że ludzie wymyślili ubrania. Nie ludzie, bowiem je uczynili, ale Stwórca, który jest na niebie, dał je i sporządził.

Dla Adama i Ewy, gdy ich wypędzał z raju, przeznaczył je.

On to wziął skóry zwierząt i przygotował szaty pierwszym ludziom, gdy – zjadłszy owoc z poznania dobra i zła – spostrzegli, że są nadzy. Mając więc to poznanie dobra i zła, nie mniemajmy by ludzie mogli na podobieństwo bezrozumnych zwierząt obcować ze sobą, jakoby byli w nieświadomości.

Nie odrzucajmy, przeto tego, co dał nam Bóg, ani gardźmy wolą jego. To bowiem, co świadczy o sprawiedliwości, nie daleko jest od nas, ale poznawszy raz nie możemy już zapomnieć. Łaska jest więc dana do wybaczania, a czas ku okazaniu skruchy.

Nawróćcie się więc! Zmieńcie się! Ja świadczę wam dzisiaj – postępowanie wasze jest złe! Niechaj więc zmieni się! Niech się zmieni!

Ja będę czekał na was, będę czekał... Przyjdźcie do mnie, nie odeślę was z niczym. Przyjdźcie, a nawróćcie się, ze złej drogi, ku sprawiedliwości wróćcie – na tym Jan skończył przemówienie i czekał resztę dnia na placu.

Jednak nie posłuchali go; zagryźli zęby i zacisnęli pieści. Wielu oburzyło się na słowa sprzedawcy. To wystąpienie nie spodobało się tak jak pierwsze.

Zbyt mało było w nim komedii; choć przecież śmiali się z niego. Choć twierdzili, że jest niedorzeczne, jednak uderzyły ich i zraniły te słowa. Sielski nastrój został zepsuty, Jan musiał wytężyć siły, lecz póki co, czekać – słowo zostało zasiane.

Pozostawienie mieszkańców samych sobie, ze swoimi myślami, było dla nich straszniejsze niż bezpośrednia konfrontacja z Janem. Naturalnie uciekali jak mogli,

starając się czymś zająć swój umysł.

Ale oczywiście im bardziej uciekali, starając się nie myśleć, tym bardziej wbrew woli powracały do nich słowa sprzedawcy; drażniące wewnętrznie ich umysły, kontrastujące myśli.

Następnego dnia Jan wyruszył do nich jeszcze energiczniej, śmiało podnoszą głowę.

Zapukał do drzwi – tak, ten szałas miał drzwi, był też solidniej zbudowany.

– Dzień dobry! Przepraszam, czy mógłbym...

– Nie, niczego nie potrzebujemy! – Starsza kobieta, stanowczo mu przerwała próbując je zamknąć, jednak on zdążył już wstawić stopę, gdy tylko je uchyliła...

– Przepraszam, ale jeśli moglibyśmy chwilę porozmawiać...

– Nie mamy o czym rozmawiać! Proszę się wynosić! – wykrzyknęła ze złością.

– Mary? To sprzedawca? Wpuść go, z chęcią z nim pomówię – dobiegł ich nagle męski głos z wnętrza domu.

Kobieta zawahała się, ale wpuściła Jana do środka. Jego oczom ukazał się widok dość osobliwy. Wnętrze ozdobione było licznymi kolorowymi rzeźbami z drewna, było też wiele regałów wypełnionych po brzegi książkami; podłogę wyścielały miękkie indyjskie dywany, na których Jan poczuł się nieswojo.

– Nie, nie musisz, zdejmować butów – powiedział starszy nagi mężczyzna siedzący w miękkim fotelu. – Choć tutaj i usiądź. – Wskazał mu drugi identyczny fotel, na którym Jan spoczął, chwaląc przy tym wystrój – co mężczyzna zresztą zupełnie zignorował.

– Zacząłeś być sprzedawcą, gdy jeszcze byłeś młody prawda? – zdawał się chcieć prowadzić rozmową.

– Tak – odpowiedział Jan.

– I jak rozumiem, spieniężyłeś na ten cel cały swój majątek?

– Tak.

– Więc nie masz gdzie wrócić, nie zostawiłeś sobie żadnej furtki odwrotu, poświęciłeś wszystko?

– Tak.

– Hmm, hmmm... To zrozumiałe więc, że jesteś taki zdesperowany. Sam podstawiłeś się pod ścianą, nie masz jak się wycofać...

– To była moja decyzja. Nikt, kto buduje dom nie robi tego bez obliczenia wpierw kosztów i ja również wiedziałem, na co się piszę gdy zostawałem sprzedawcą. Wiedziałem ile będzie mnie to kosztować. Postanowiłem poświęcić wszystko. I tak zostałem sprzedawcą.

– Więc poświęciłeś to wszystko dla tej idei… Ale teraz nawet nie masz jak się wycofać, gdybyś nawet spostrzegł, że jesteś w błędzie nie możesz się wycofać, bo poświęciłeś wszystko… Tak, zasada konsekwencji…

– Poświęciłem wszystko nie dla bycia sprzedawcą, ale dla ludzi, dla ludzkości w ogóle i każdego pojedynczego człowieka, do którego uda mi się dotrzeć. Chciałem iść i pomóc innym.

– Jesteś przekonany o własnym altruizmie, to, jak sądzę, jest taka rekompensata. Obrona psychiczna, spowodowana twoim odrzuceniem przez społeczeństwo. Ale przejdźmy do twojej idei.

Wiesz może, od czego pochodzi słowo "utopia"? "Utopia" była nazwą fikcyjnego kraju w dziele Tomasza Morusa. Jako że Morus przedstawiał w nim swoją wizję, wyidealizowanego, doskonałego społeczeństwa, z czasem utopią zaczęto nazywać świetne pomysły, a jednak niemożliwe do zrealizowania w praktyce…

– Nie ma nic niemożliwego w tym by wszyscy ludzie chodzili ubrani – zaprotestował Jan, jednak starszy mężczyzna uciszył go gestem ręki.

– W tej Utopi, ludzie, którzy mieli się zejść, najpierw oglądali się nago, żeby nie być potem zawiedzeni ciałem partnera, którego zamierzają poślubić. I to wydawało się ludziom takie niemożliwe do zrealizowania!

Myślisz, może, że takie rzeczy nie stanowiły w prawdziwym życiu żadnego problemu? Ach, na pewno były takie przypadki! Gdy ludzie ciasno opatulali się ubraniami, zawód musiał być wcale nie rzadką rzeczą. I potem na przykład żona zabijała swego męża, bo była niezadowolona z wielkości jego przyrodzenia. Takie rzeczy się zdarzały… na szczęście teraz nie stanowią już problemu.

To jednak pokazuje, że ludzkość od dawna pragnęła nagości. Pożądała jej, cierpiała, śniła o niej w marzeniach i utopiach, a przecież mogła łatwo zrealizować ten zamiar. Uwolnić się z pod tego jarzma. Tak ciężko jest jednak pozbyć się przesądów moralnych! Tych pozostałości minionych wieków, naleciałości historii… Lecz zastanawiające jest, czemu ubrania w ogóle powstały. Odpowiedzi należałoby szukać w prehistorii.

W tych mrocznych wiekach, w których trwała nieustająca wojna, wszystkich ze wszystkimi. Wtedy też musiały powstać pierwsze ubrania. Jaki był kontekst znaczeniowy strojów? Czy ubrania nie były początkowo wytworem pierwotnych religii?

Sam zresztą wspomniałeś biblijne mity o ubraniach. Mogło też i tak być, wiemy przecież, że kapłani zawsze wyróżniali się strojem. Szaty mogły więc pierwotnie służyć do celebracji świąt związanych z płodnością, cyklami księżycowymi czy słonecznymi.

Były przedmiotem kultu, a z czasem stały się przedmiotem codziennego użytku. Mogło tak być. Może jednak lepsze zrozumienie kontekstu, w jakim ubrania weszły do codziennego użytku, zrozumiemy, gdy przyjrzymy się społeczeństwom pierwotnym.

Mamy zapiski i nagrania licznych afrykańskich społeczeństw, które kulturowo i technicznie, zatrzymały się na etapie prehistorycznym. Wiemy z nich, że wśród takich społeczeństw pierwotnych częste było zakrywanie jedynie części intymnych…

– Zakrywali je, bo się wstydzili – przerwał wywód Jan. – Tak jak jeszcze niedawno, nosiło się choćby stroje kąpielowe.

Starszy mężczyzna zignorował to – No właśnie, zakrywano części intymne… Czemu to miało służyć? Z pewnością musiało mieć to jakieś znaczenie seksualne…

Nie inaczej! Przyczyny większości ludzkich zachowań leżą w jakiś ich powiązaniu z seksualnością – Janowi zrobiło się niedobrze, gdy to usłyszał. – Nic więc dziwnego, że i tutaj znaczenie musiał mieć przede wszystkim instynkt seksualny.

U kobiet więc, ubrania mogły wyrosnąć z prymitywnych pasów cnoty. Gdy taki dzikus wyruszał na polowanie musiał w jakiś sposób zabezpieczyć swoją kobietę, przed zapłodnieniem przez innego dzikusa.

Ludzie nie byli wtedy zbyt inteligentni, więc wystarczyły jakieś prowizoryczne zabezpieczenia. Za to u mężczyzn przepaski biodrowe, mogły być czymś w rodzaju zbroi. Części intymne są naprawdę delikatne.

Biegając nago po dżungli, dzikus ryzykował odgryzienie, albo zranienie swojego

członka… Zraniony, przy zupełnym braku medycyny, musiał umrzeć, albo, co najmniej, długo dochodzić do siebie, co w prymitywnych społeczeństwach obniżyłoby by go w plemiennej hierarchii.

W prymitywnych społeczeństwach mężczyzna, który nie mógł zapładniać, był traktowany jak podczłowiek. Nie mógł liczyć na żadne względy i pracował najciężej. Chroniąc więc swoje przyrodzenie, chroniło się swój ród, swoją godność i geny.

Tak… Myślę, że ta teoria dość wiarygodnie opisuje to, w jaki sposób ubrania mogły powstać…

Jan przyjrzał się mu uważnie – Nie! – odpowiedział. – Już na przemówieniu wyjaśniłem, w jaki sposób powstały ubrania i Kto je stworzył.

– Masz na myśli te bajki? chyba sam nie wierzysz, że ubrania sfrunęły z nieba? Moja teoria jest o wiele bardziej racjonalna i logiczna.

– Przecież to wszystko sobie sam właśnie wymyśliłeś! Co ty wiesz o życiu ludzi z przeszłości? Nic! Kompletnie nic! Oczerniasz innych bez litości zamiast spojrzeć na siebie!

Spójrz proszę– jesteś zupełnie nagi i siedzisz tak goły, na przeciw obcego sobie człowieka. Jak ci nie wstyd? Uważasz, że to co robisz jest normalne?

– Oczywiście – odparł starszy mężczyzna. – My – dzisiejsze społeczeństwo – żyjemy już ekologicznie w zgodzie z naturą. Jesteśmy normalni – naturalni.

– Nagość nie jest naturalna.

– Hah! A więc uważasz, że zwierzęta są nienaturalne, bo nie przebierają się w stroje?

– Dla zwierząt nagość jest naturalna, ale nie dla człowieka! Zwierzęta nie wyglądają sprośnie. Jak naturalnie wygląda obraz przedstawiający sarnę na trawiastym pagórku, domalowanie do niego nagiego człowieka czyni z niego co najwyżej komedię.

Mężczyzna spojrzał na sprzedawcę jak na małe dziecko. – Ewolucja doprowadziła... – zaczął.

– Nie wieżę w ewolucję – przerwał mu Jan, miał już dość słuchania jego nieszczęsnych wywodów.

Starszy mężczyzna przeraził się. Nie mógł uwierzyć temu, co słyszał. Wydawało

mu się za oczywiste, że ktoś mógłby wierzyć, lub nie wierzyć, w Boga, ale ewolucja? Jak można nie wierzyć w ewolucję!?

Tak jak pierwsi chrześcijanie twierdzili, że wszystko, co jest na świecie, potwierdza istnienie Stwórcy, tak jemu zdawało się mgliście, że wszystko co jest na świecie potwierdza istnienie ewolucji. W swym prymitywnym naukowym postrzeganiu nigdy nie przyszło mu na myśl, że ktoś mógłby podważać tą teorię.

Zdawało mu się zaraz, że przecież wszystko ewoluuje. Ewoluują drzewa, ewoluują ludzie, ewoluowała technologia i społeczeństwo, wreszcie nawet wszechświat cały ewoluuje. Lecz teraz ktoś podważał to wszystko! Jakby przeczył istnieniu nieba i ziemi, zwierząt i ludzkości, a nawet wszechświata.

Podobna herezja wprost nie mieściła się w jego głowie. Spojrzał ze zgrozą na Jana – on nie żartuje! Powiedział to całkiem poważnie! A więc jest szaleńcem! Musi nim być!

– Jesteś paranoikiem – stwierdził w końcu uspokojony tą myślą. – Tak… to pasuje do tej twojej wielkiej idei, głębokiego poczucia krzywdy i nienawiści. Jak łatwo idealiście owładniętemu jakąś pasją, stać się ofiarą zaburzeń umysłowych…

– Ech… – westchnął sprzedawca; słyszał ten zarzut już wielokrotnie. – Szczerze mówiąc, nie sądzę by ktoś taki jak paranoik w ogóle istniał. Nie wierzę w żadne zaburzenia umysłowe. Tak łatwo jest wam zbagatelizować czyjeś zdanie, przez oskarżenie o chorobę umysłową…

Jasne, jestem wariatem, psychopatą, szaleńcem, paranoikiem, czy tam jeszcze jakie inne słowa wymyśliliście, by zamknąć ludziom usta.

Lecz prawda jest taka, że to raczej wy zwariowaliście i z całych sił staracie się nie dopuścić do siebie myśli, że jesteście w błędzie. Jednak to fakt niezbity.

Tak! – wskazał na niego palcem Jan. – Tak! Ciągle odrzucacie tą myśl! Lecz ona jest prawdziwa! Jesteście w błędzie, to najczystsza prawda!

– Nie – odpowiedział mu starszy mężczyzna ze spokojem. – To ty w swej paranoi źle postrzegasz rzeczywistość. Ale widać, że sam masz już drobne wątpliwości, dlatego chcesz je przerzucić na nas… Ciekawe…

Tubylec uśmiechnął się z wyższością, lecz jednak nagle jakiś dziwny niepokój go ogarnął, jakaś niepojęta trwoga nim zawładnęła – Wyjdź! Natychmiast wyjdź z mojego domu i nigdy nie wracaj! Słyszałeś!? Wynocha!!! – nagle wykrzyknął.

Na dźwięk tych słów momentalnie pojawiła się ta, która nie chciała wcześniej wpuścić go do domu. – Już! won! Profesor nie ma dla ciebie czasu, wynocha! – wypchnęła go prędko za drzwi.

Roztrzęsiony Jan postanowił spróbować sił u brata Sandry. Wiedział już, że na prawdę był chory, oraz że wyzdrowiał i czuje się dobrze. Postanowił go odwiedzić.

Jednak znów zmuszony był przełknąć gorzką pigułkę. Tom/Eugeniusz wyszedł do niego osobiście i jasno dał mu do zrozumienia, że nigdy więcej nie chce go widzieć.

– Zrobiłem coś nie tak? – zdziwił się sprzedawca.

– Nie. Po prostu taką podjąłem decyzję. A teraz odejdź… albo zostań tutaj… Ja w każdym razie idę do szałasu i nie zamierzam już więcej z panem rozmawiać.

Sprzedawca został więc w miejscu. – A więc tutaj także nic, nie ma nadziei! Nie ma nadziei!!! – pomyślał rozzłoszczony i strasznie zmęczony. To wszystko trwało już tak długo, to wszystko było takie męczące... i złe...

– Rozczarowany? – zapytał go Albert, który jak zwykle kręcił się gdzieś w pobliżu. – A zastanawiałeś się jak wiele pracy i wysiłku musiałeś włożyć w to by poczuć to rozczarowanie?

– To akurat wiem dokładnie! Moje piekące odciski na rękach i ciężkie torby, które wciąż noszę wszędzie za sobą, nie pozwalają mi zapomnieć… – odpowiedział Jan do reszty zirytowany.

Zebrał się jednak w sobie i poszedł dalej szukać jakiegoś człowieka skłonnego do rozmowy. Jeden taki stał oparty plecami o szałas nic nie robiąc; miał kręcone włosy i silącą się na powagę minę. Podszedł do niego.

– Dzień dobry, na imię mi Jan, sprzedaję ubrania...

– Dobry… Jestem Fred – podał mu rękę.

Jan z ochotą ją uściskał.

– A więc drogi Fredzie, czy nie chciałby pan kupić u mnie jakiegoś stroju.

Mógłby pan ubrać się…

– Ta... A ty wciąż o tym? – odrzekł mężczyzna. – Co tu dużo gadać... Na punkcie ubioru masz po prostu obsesję, ale któż niema jakiś obsesji? Problem w tym, że twoja, poza byciem irracjonalną i głupio marnować ci pieniądze, dodatkowo niszczy cię psychicznie i jest szkodliwa społecznie.

Jan zdziwił się – *A więc tak!* – pomyślał. Znów przyjdzie mu wysłuchać, jakiś teorii na swój temat… Słuchał więc.

Fred jednak zamiast mówić, chwycił swe przyrodzenie i zaczął machać nim w stronę Jana. Zaskoczony sprzedawca cofnął się z obrzydzeniem.

– Ha, ha, ha, ha! – roześmiał się tubylec. – Obrzydzam cię co? Widzisz z twoją manią na punkcie szkodliwości golizny, jest trochę tak jak w XIX wieku z ruchem antyonanistycznym, w który zaangażowani byli nawet tacy wielcy myśliciele jak Kant czy Rousseau.

Czego oni wszyscy nie wymyślali wtedy na temat autoerotyzmu? Miał rozrzedzać krew, powodować wymioty i zaparcia. Miał być chorobą, która wyniszczać miała organizm i prowadzić nawet do śmierci.

Hi, hi, hi, hi – zachichotał złośliwie i pomajtał znów przyrodzeniem. – Jakie czasy, takie strachy! Dziś również niektórzy ogarnięci są podobnych rozmiarów, pełną idiotyzmów manią i ty, jak widać, do nich należysz.

W swej nienawiści jesteś jednak trochę spóźniony, gdybyś pięćdziesiąt – sto, lat temu występował z podobnymi oskarżeniami i naciskami, mógłbyś znaleźć jakieś poparcie. Jeśli nie wśród inteligentnych ludzi wykształconych, to przynajmniej w zacofanych, ograniczonych, przedstawicieli religii – mówiąc to Fred, bez skrępowania zaczął się masturbować.

Jan zamarł, nie wiedział co powiedzieć, odwrócił tylko wzrok. Tymczasem tubylec kontynuował:

– Małostkowe i wąskotorowe myślenie zawsze było zresztą domeną religii i wiary. Watykan zgodnie ze swym zwyczajem, długo przekładał dogmat ponad prawdę, sprzeciwiając się negliżowi. Upór był tak duży, że niektórzy złożyli deklarację wiary w Biblię, twierdząc: „Lepiej być pokornym niż powieszonym” – co już samo w sobie dowodzi jakie to były czasy…

Ale nie ma, co się nawet temu dziwić. Dwa wieki wstecz nasi przodkowie dość

powszechnie wierzyli, że ludzie z głowami psów mieszkają w odległych krainach, a odkrywane szkielety gadów bywały uznawane za szczątki grzesznika, który utonął podczas potopu!

Ech… Ech… – stęknął i wzdrygnąwszy się dodał. –Nie zrozum mnie źle, nie mam nic przeciw tobie! Właściwie wręcz przeciwnie! Rozumiem, że trudno może być ci zaakceptować to, do jakiego stopnia zmieniła się nasza, ludzka, świadomość w ciągu zaledwie dziesięciu pokoleń. Jak bardzo ewoluowały nasze poglądy na temat człowieka i życia.

Dla niektórych był to szok porównywalny z tym, jakiego doznali ludzie, dowiadując się za sprawą odkrycia Kopernika, że Ziemia nie znajduje się w centrum wszechświata. Niektórzy dotąd tego nie zaakceptowali i ty jesteś tutaj przykładem, takiego obskurantyzmu…

Jan zmusił się by spojrzeć na tego odrażającego, zadowolonego z siebie osobnika. – *Czy to jest teraz człowiek?* – pomyślał ze zgrozą. – Czy tak właśnie wygląda teraz ludzkość?

W tym jednym momencie byłby nawet skłonny zgodzić się ze stwierdzeniem, które kiedyś przeczytał w jakimś starym komiksie: „Jedyne, co można zrobić by im pomóc, to ich zabić!" – mówił tam jeden z protagonistów, co Jana, swego czasu, zupełnie oburzyło.

Teraz jednak był nawet skłonny sądzić, że tacy jak Fred są już tak zepsuci, że tylko śmierć mogłaby ukrócić ich błazenadę. Podświadomie czuł, że ludzie tacy jak on, będą dewastować siebie – swoim postępowaniem karykaturować człowieka coraz bardziej i bardziej – aż litościwa śmierć w końcu ich nawiedzi i ukróci ich obelżywą autodestrukcję.

– Onanizm jest zły – stwierdził w końcu; nie mając jednak ochoty, ani siły, przekonywać nikogo.

Tymczasem słowa Jana, Freda bardzo rozbawiły. Padł na ziemię i zaczął śmiać się do rozpuku. Dziwnie wciągał przy tym powietrze, jakby się dusił – Huy, huy, huy!

Jan zamknął oczy by na niego nie patrzeć, odwrócił się i odszedł.

Wszędzie napotykał to samo – opór, racjonalizację zła, przy jednoczesnej demonizacji.... Chociaż zwykle nie demonizacji, ale raczej wyszydzaniu i trywializacji dobra.

Im wszystkim wydawało się, że prawda jest zbyt stara, by mogła być prawdziwa… że jest zbyt archaiczna, w porównaniu z nowoczesnym kłamstwem. Tymczasem sami zachowywali się o wiele bardziej prymitywnie niż jacykolwiek ludzie z przeszłości.

Byli więc skłonni używać najbardziej rażących oszczerstw, względem swoich przodków, tylko po to by w ten sposób zatuszować swoją własną głupotę i mierność. Pokazać jak ogromnie postęp i rozwój, uczynił ich większymi i lepszymi, niż byli ludzie dawniej żyjący.

Zachowywali się jak człowiek, który z zazdrością wyolbrzymia wszelkie grzechy i błędy swego sąsiada, bo w głębi serca czuje – do czego nie przyzna się nawet pod groźbą śmierci – że jego własne życie jest do niczego, a dokonania tak marne i żałosne, że żal byłoby nawet o nich mówić.

Postęp przedstawiany był, więc w ich myśli, jako nieuchronny proces. To, że dzisiaj jest już lepiej niż wczoraj, zdawało się być dla nich oczywistością nie do podważenia. To, że dzisiejsi ludzie rozsądniejsi niż ich przodkowie, jako najczystszy truizm.

Tymczasem byli zepsuci i źli coraz bardziej. To, że potrzebowali ratunku było oczywiste. Równie, coraz bardziej jednak, Jan przekonywał się, że być może, żaden ratunek nie jest już możliwy, a cała sprawa z gruntu, skazana na niepowodzenie.

W tych chwilach poczucie bezradności, swojej własnej niemocy – wobec ogromu rozpowszechniającego się jeszcze zła – odbierało mu to wszelką chęć do życia, uporczywie podsuwając myśli o samobójstwie.

Przełamywał je ciągle działaniem, pracą. Czynem śmiałym i dzielnym. Który w swej istocie przełamywał bezsilność, niczym miecz rozcinając węzeł ich knowań i tłumaczeń.

Przy czym orędzie Jana było proste – jak prosta jest droga Pańska i prawda, a ich tłumaczenia skomplikowane i zagmatwane – jak węzeł złożony z setki różnokolorowych nici, niemożliwy do rozsupłania.

Były skomplikowane, a więc zdawały się być mądre. Jego słowa proste jak bu-

dowa miecza – ich jak skomplikowany mechanizm. Tak zresztą bywa, że gdy ktoś niekompetentny zobaczy plątaninę kabli, zaraz skłonny jest sądzić, iż ma do czynienia ze skomplikowanym mechanizmem, świetnym komputerem – lecz może to być po prostu plątanina kabli, nic więcej...

Dlatego też od dawien dawna ludzie, którzy chcieli uchodzić za mądrych, wyrażali się w sposób możliwie jak najbardziej skomplikowany i niezrozumiały. Celowo i z premedytacją nadużywając języka fachowego, tam gdzie zwykły zapewniłby lepsze zrozumienie; mnożąc definicje…

Z tym wszystkim sprzedawca spotykał się wielokrotnie i także teraz, ciężar tego wszystkiego go przygniatał. Zbierały się w nim różne emocje.

– Przepraszam pana…

Jan raptownie skamieniał wyrwany ze swoich myśli – przed nim stała około pięćdziesięcioletnia kobieta o posturze praczki, z miłą, dobrą twarzą, na której teraz wykwitło zatroskanie.

– Czy mogłabym kupić u pana jakieś ubranie? – słysząc to pytanie, serce Jana praktycznie się zatrzymało. – A więc jednak! A wiec opłaciło się! Cały trud nie poszedł na marne!

W tej jednej chwili, miał chęć uściskać każdego człowieka na ziemi. Nawet nie wiedział, co właściwie chciałby zrobić, chyba wystrzelić jak rakieta w niebo! Unieś się ponad ziemię. Był szczęśliwy.

Lecz kobieta dodała: – Tylko że nie chciałabym go nosić, używałabym tkaniny, jako rozpałki…

Gdy tylko do świadomości Jana doszedł sens tych słów, cała radość momentalnie się ulotniła, robiąc miejsce bezgranicznej wściekłości. – Nie!!! – wykrzyknął w odpowiedzi.

– Ubrania są do noszenia, nie oddam nic na spalenia! Przykro mi... – z całej siły pohamował swą złość.

Kobieta odeszła zasmucona.

– Z jakiej przyczyny żeś tak na nią nakrzyczał? – zapytał go Albert, który migiem znów był już przy nim. – Nie rozumiesz, że ona zrobiła to dla ciebie z litości?

– Litości? – zdziwił się sprzedawca.

ALBERT:

– Właśnie – litości! – to dobra kobieta i nie może już patrzeć jak męczysz się, i męczysz – i chciała ci zrobić przyjemność...

Dobra kobieta... Powiedziałem, że dobra, bo i dobra, ale głupia. Chce pomóc ci, ale nie można pomóc ci, grając w twoją własną grę. Zresztą ty w ogóle nie jesteś gotowy na żadne ustępstwa. Albo ktoś przyjmuje twoje warunki, albo w ogóle nie chcesz z nim rozmawiać.

Cóż było złego twoim zdaniem w tym kompromisie, który zaproponowała? Czy aż tak ci wadził? A zresztą ty i tak cel masz jeden…

JAN:

– Owszem, bowiem jestem sprzedawcą, i chcę by kupili i używali, byście wszyscy ubrani byli.

ALBERT:

– No właśnie! W tym też tkwiła głupota tej kobiety, kiedy chcąc pomóc ci, wkroczyła do twojego pojmowania i zniżyła się do twojego myślenia, wychodząc ci jakby naprzeciw. Ale chcąc pomóc tobie, trzeba właśnie odwrotnie: nie od nas wejść do ciebie, ale ciebie sprowadzić do nas.

Ty bowiem w swym stanie cierpisz, sam z siebie, a my jesteśmy szczęśliwi. Trzeba więc byś ty stał się jak my, byś też stał się szczęśliwy.

Ale ty nie chcesz! boisz się zjednać z nami. Boisz się odrzucić tego płaszcza, co skórę twoją zakrywa, zdjąć koszulę, która odgradza skórę twoją od świata. Otworzyć się na ciepły wiaterek, który przewiałby ci ciało i wysuszył pot, który nawet teraz powstaje pod koszulą twoją – i sprawia, że lepisz się cały.

Spójrz na siebie i przestań wreszcie udawać – jesteś nieszczęśliwy!

JAN przyznaje:

– Owszem, jestem.

ALBERT tryumfuje:

– I innych chcesz tak samo unieszczęśliwić. Nałożyć na nich te same szaty, które ością ci w gardle stoją od dawna.

JAN z rozpaczą:

– Wiedziałem, że tak to zrozumiecie! Wiedziałem, że wszystko opacznie zobaczycie!

Owszem nieszczęśliwa jest dusza moja aż do śmierci i pragnąłbym raczej by miecz gardło moje przeszył, niźli miało być jak obecnie, ale nie z tego!

Nie z tego, że jestem ubrany, nieszczęście moje – ale z tego, że wyście nieubrani!

Cóż chcieć może sprzedawca – aby sprzedawał! i Ja chce byście ode mnie kupili, porzucając, co się nie godzi, ani przystoi – okrywając nagość swoją. Ach, czy byłbym nieszczęśliwy?

Czy byłbym smutny, albo załamany, czy oczy moje od łez wylanych opuchnięte byłby – gdybyście wy przyjęli to co należne? Zaprawdę, iż nie miałbym smutku z was, jeślibyście jak się godzi ubranymi stali się ze mną.

I radowałbym się i cieszył i skakał koziołki, żartując, śmiejąc się... Ale teraz nie

mogę – chowa głowę w dłoniach.

ALBERT:

– Nie w tym rzecz się ma i paranoizujesz tu, ale gdyby nawet prawdą było – Co z tego? Czy my mamy stać się nieszczęśliwi, byś ty był szczęśliwy? Albo, czy wszyscy mają być niezadowoleni, byś ty był zadowolony?

JAN:

– Nie, ale, z korzyścią dla was przecież!

ALBERT:

– Jaką korzyścią? Albo i nie mamy być nieszczęśliwymi, kiedy mamy porzucić nasze naturalne i wziąć, co nienaturalne. Skóra nasza z natury nieubraną rodzi się, na co więc ją okrywać? I czy nie unieszczęśliwi nas, gdy wbrew woli będziemy czynić – byś ty mógł się cieszyć?

Nadto i to, co mówisz, świadczy o motywacji twojej. Mówisz bowiem, że byłbyś szczęśliwy gdybyśmy byli ubrani – poniekąd możliwe, nawet wierzysz w to. Dlaczego więc sprzedajesz? Dla nas, czy raczej dla siebie?

Jeśli chcesz więc byśmy kupili – czego nie chcemy – byś ty być mógł szczęśliwy, znaczy o siebie dbasz i swojego szczęścia szukasz, a łudzisz się – niby nam chcesz pomóc. Wątpię jednak by twoja droga do szczęścia, była najłatwiejszą z dróg, a nawet jeśliby ci się udało – wątpię byś, był szczęśliwy.

JAN:

– Nie dla siebie robię to, nie dla siebie ja, ale dla was! Byłbym ja gotów i to co mam na sobie zdjąć z siebie i was ubrać – wszakże aż do samej bielizny rozebrałbym

się, aby was obdzielić, jeślibyście chcieli! Byście tylko ubrani byli niosłem te ciężkie torby i gorąc cierpiałem, a nie ustawałem. I mówiłem do was i upominałem.

I byłem wam wzorem – choć słońce mnie piecze i choć duszę się już od gorąca... wzorem byłem wam aż dotąd i jestem nadal. I czekam na posterunku, a nie ustaję w nadziei – przyjdzie ktoś, a kupi ode mnie, otrzymam też zapłatę swoją.

ALBERT:

– Czy i teraz nie mówisz, iż zapłaty pragniesz? Czy więc dla siebie nie robisz tego wszystkiego, choć przecież żadnego pożytku ci to nie przynosi – chyba że złudną nadzieję, która donikąd prowadzi.

JAN:

– Drwij ze mnie. Już niejeden drwił. Ale ja drwiny, na głowę swoją, przyjmuję – cierpienia mego nie da się już powiększyć, a bólu mego rozszerzyć – nie można. Drwij więc, jeśli masz przyjemność.

ALBERT:

– Albo i nie mówię prawdy? Zostawmy jednak motywację na boku. Kto bowiem nie chce być szczęśliwy? Ale powiadają, że nie jest to dobre, co jest dobre, ale co się komu podoba.

Jeśli więc tobie dobrze było by ci być ubranym, jako i nam nagim, niechbyś był ubrany. Wszakże nie widzę by dobrze ci było w ubraniu. Ale widzę żeś ty nieszczęśliwy, a my życia używamy. Ty zmęczony, a my wypoczęci. Ty pełen potu, a my czyści. Ty wykończony, a my pełni energii.

JAN:

– Bodaj byście we wszystkim byli lepsi ode mnie, ale w ubraniu!

ALBERT:

– Żartujesz, czy udajesz głupiego, albo to nie jedno jest to właśnie "ubranie”, które ciebie – który je posiadasz – czyni nieszczęśliwym, a nas szczęśliwymi?

JAN:

– Nie, ale, z powodu zatwardziałości waszej zraniony jestem, nie mogąc czynić tego do czegom przysposobiony. Jeśli ratować was nie mogę jakoż mam nie być przybity?

ALBERT:

– A więc nas chcesz ratować, skoro sam żeś przybity? Ratuj więc siebie, a poznamy, że ratować umiesz. Nam bowiem nic nie brakuje.

JAN:

– Kiedy ja przez was przybity jestem! Wam się zdaje tylko, że nic wam nie brakuje, wszakże nadzy jesteście.

ALBERT:

– W nagości naszej nie znajdziesz ujmy.

JAN:

– Nagość jestci ujmą którą macie.

ALBERT z irytacją:

– Czego więc my szczęśliwi, a ty nieszczęśliwy?

JAN:

– Nie, ale ja jestem szczęśliwy, ale wy nieszczęśliwi.

ALBERT:

– Jakże, skoro sam przyznałem, że jesteś nieszczęśliwy, a teraz mówisz, że nie jesteś! Nadto kłamiesz, iż my jesteśmy!

JAN:

– Czyż zaprzeczysz temu, że ja jestem szczęśliwy i bogaty? mam bowiem na sobie ubranie – a wy nic nie macie. Biedni i nieszczęśliwi jesteście; nie mając włożyć co na siebie, ani czym okryć swą nagość.

ALBERT:

– Cóż z takiego szczęścia – co się nieszczęściem objawia?

JAN:

– Azali, cóż z takiego szczęścia – które jest w nagości?

ALBERT:

– Czy zdaje ci się być nagość sama w sobie zła, jako rana, albo choroba? Do reszty już zmysły postradałeś, czy sam się łudzisz?

JAN:

– Nie, ale prawdę mówię, że jesteście nadzy.

ALBERT:

– To widzimy i bez ciebie, dokładnie.

JAN:

– Czemu więc ubrania nie chcecie przyjąć. Azali cena jest zbyt wielka?

ALBERT:

– Nie cena przeszkadza, ale... Toż ceną byłoby nieszczęście, które cierpielibyśmy, jako i ty teraz cierpisz!

JAN:

– Nie, ale, dobrze byście uczynili.

ALBERT:

– Widzę, że próżno jest z tobą język strzępić – powiedział na pożegnanie i odszedł zirytowany, a Jan wstał wzdychając.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Ten_Smiertelny, dodano 30.03.2018 09:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.